

Prekariat – nowa niebezpieczna fikcja

11 czerwca 2016

Karierę, również wśród społecznej lewicy, robi ostatnio termin „prekariat” mający określać pracowników zatrudnionych na niestabilnych warunkach. Z pozoru niewielka zmiana nazewnictwa może być jednak groźna, gdyż idą za nią postulaty bardzo dalekie od lewicowego, klasowego podejścia i wręcz szkodliwe.

JAK STWORZONO PREKARIAT

Autorem określenia prekariat jest Guy Standing – londyński profesor ekonomii, badacz zjawisk elastyczności rynku pracy oraz zabezpieczeń socjalnych. Swoją teorię wyłożył on w książce „Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa”. Według niego powstała nowa, wcześniej niemal nieznana grupa zatrudnionych nie posiadających stabilnych warunków zatrudnienia. Rozrasta się ona i zastępuje tradycyjny „salarariat”, czyli pracowników najemnych zatrudnionych na podstawie umów o pracę. Standing słusznie zauważa wiele procesów zachodzących w najbardziej rozwiniętych państwach jeśli chodzi o strukturę produkcji oraz formy zatrudnienia. Trudno nie przyznać mu racji również wtedy, gdy argumentuje, że „prekariusze” zostali pozbawieni podmiotowości ze względu na to, iż często żyją z dnia na dzień, niepewni czy będą mieli środki na utrzymanie.

Niewątpliwie cenne w tej koncepcji jest poszukiwanie innych sposobów organizacji niż tradycyjne, okopane na dotychczasowych pozycjach związki zawodowe. Wraz ze zmianą form produkcji oraz spadkiem znaczenia wielkich zakładów pracy chociażby dotychczasowa walka strajkowa przestała, w wielu wypadkach, być skutecznym środkiem walki.

PREKARIAT KLASĄ?

O wiele gorzej koncepcja „prekariatu” wypada jednak, gdy

chodzi o formułowanie alternatyw. Standing już od początku przeczy sam sobie. Z jednej strony podkreśla różnorodność prekariuszy, w skład których wchodzi zarówno zatrudniane przez firmy zewnętrzne sprzątaczkę w korporacjach czy instytucjach państwowych. Z drugiej na elastycznych kontraktach pracują również bardzo dobrze opłacani menadżerowie i specjaliści. Pomimo to dla Standinga „prekariat” stanowi odrębną klasę. Czyżby sprzątaczkę lub stażystę mieli się identyfikować nie z pracownikiem najemnym, ale menadżerem? Takie można odnieść wrażenie.

Podobne rozumienie zagadnienia zmian na rynku pracy jest odbiciem stylu myślenia wielkomiejskiej „klasy średniej”. Jest ona definiowana raczej przez stan umysłowy oraz system wartości, niż stosunek wobec środków produkcji. Termin „prekariat” ma pozwolić jej na odcięcie się od „proletariatu”, poczuć się kimś lepszym, mającym wyższe kwalifikacje niż tradycyjni pracownicy najemni. Jest to więc ideologia wręcz szkodliwa, która każe szukać podziałów biegnących w poprzek tradycyjnych, klasowych.

NOWA JAKOŚĆ DEBATY?

Trzeba przyznać, że nie wszyscy zwolennicy „prekariatu” uważają go za klasę. Na przykład Jarosław Urbański, analizując zjawisko w książce „Prekariat i nowa walka klas”, łączy je ze zmianami w istniejących branżach. Uznaje również walkę osób zatrudnionych w elastycznych warunkach jako kontynuację wcześniejszych walk pracowniczych.

Niestety twierdzi przy tym jakoby termin „prekariat” był w stanie ożywić debatę nad prawami pracowniczymi i dawał nowe argumenty ruchom pracowniczym. Nic bardziej błędnego. Poza powielaniem wielu mitów klasy średniej mówienie o prekariacie zmienia nawet samo nazewnictwo. Zjawisko zatrudnienia na umowach cywilnoprawnych czy na czas określony nazywano jeszcze niedawno śmieciowym, niestabilnym, lub, bardziej publiczystycznie, McPracą. Teraz te jednoznacznie negatywne

terminy zastąpił neutralny „prekariat”.

W dodatku za zmianą tą nie idzie poważna refleksja nad interesami zatrudnionych na umowach śmieciowych. Termin „prekariat” przemawia być może do menadżerów oraz pracowników sztuki, czyli artystów większej lub mniejszej klasy, ale już nie do wypychanych na śmieciówki pracowników najemnych, zatrudnianych przez agencje pracy czasowej. Należy on nie do języka walki oraz konfrontacji z kapitalistami, lecz akademickich debat prowadzonych przez „ekspertów” ponad głowami ludzi pracy.

ALTERNATYWA?

Jeszcze gorzej jest, gdy popatrzy się na niektóre postulaty wysuwane przez propagatorów walki „prekariatu”. Według Standinga podstawowa zmiana powinna dotyczyć pewności dochodów oraz włączenia zatrudnionych na podstawie elastycznych form do świadczeń socjalnych. Nie mówi on szczegółowo jak by to miało nastąpić. Przedstawia jedynie pomysł bezwarunkowego dochodu podstawowego (BDP), czyli pieniędzy wypłacanych, w różnych formach, wszystkim obywatelom, lub tym, którzy zarabiają poniżej pewnego minimum. Z pozoru żądanie to wydaje się słuszne, jednak w praktyce może bardzo łatwo doprowadzić do zdjęcia z kapitalistów wszelkiej odpowiedzialności za zapewnienie zatrudnionym godziwych płac. Skoro państwo będzie fundowało BDP, to czemu nie mieliby oni szukać kolejnych sposobów na obchodzenie regulacji dotyczących pensji minimalnych, tym bardziej, że pracownik nie będzie się przecież buntował. Ponadto wprowadzenie BDP może być pretekstem do likwidacji wielu świadczeń socjalnych na zasadzie – macie więcej pieniędzy, stać was na lekarza czy ubezpieczenia społeczne.

Nie lepiej jest z kolejnym przedstawianym przez Standinga postulatem – włączeniem „prekariuszy” do systemu demokratycznego oraz podejmowania decyzji. Ta nowa „obywatelskość” miałaby się wyrażać w tworzeniu organów

przedstawicielskich reprezentujących ich interesy. Standing zajmuje stanowisko podobne do socjalistów utopijnych wierzących, że stworzenie kolejnej instytucji i przekonanie kapitalistów iż jest ona w interesie społeczeństwa, doprowadzi do zmniejszenia lub wyeliminowania wyzysku. W praktyce, nawet gdyby udało się stworzyć takie instytucje, to ponieważ „prekariat” nie jest w rzeczywistości klasą, lecz sztucznym tworem złożonym z ludzi różnych klas, instytucja będzie reprezentować najsilniejszych. W Radzie Prekariatu, czy jak tego inaczej nie nazwać, zasiedliby więc menadżerowie, wysoko wykwalifikowani specjaliści czy najbogatsi artyści. To interes należących do klas uprzywilejowanych, będzie reprezentowała Rada. Nie przyczyniłoby się to więc do eliminacji patologii płynących z elastycznych form zatrudnienia, a nawet je nasiliło. Niewielkiej uprzywilejowanej grupie bogatych menadżerów czy artystów opłaca się pracować na umowach umożliwiających płacenie niższych podatków czy też opłat na ubezpieczenia społeczne.

STRAJK „PREKARIATU”?

Zupełną pomyłką jest opieranie na koncepcji „prekariatu” strategii walk pracowniczych. Stanowi to trochę wytłumaczenie się z niemocy części radykalnej lewicy – „nie umiemy zorganizować skutecznych strajków, ani nie staramy się pomóc w powstawaniu związków zawodowych w zakładach, bo prekariat”. Wcześniej taką samą, demobilizującą rolę pełniła fałszywa koncepcja „końca pracy”, wedle której to nie na polu pracy, ale na przykład spraw konsumenckich, będą się organizowały przyszłe ruchy społeczne.

Opieranie się na prekariacie prowadzi do zachwiania proporcji w ruchu związkowym. Motorem mają być już nie komisje zakładowe walczące o stałe zatrudnienie, lecz pracownicy sztuki, NGO-sów, czy pracujący dorywczo specjaliści. Jest to koncepcja bardzo wygodna, ponieważ tacy „prekariusze” mają wysoki kapitał społeczny, są komunikatywni i umieją wyrażać swoje postulaty. W praktyce nie doprowadzi to jednak do żadnych

zmian, bo ich siła przetargowa jest żadna, a najczęściej nie umieją przyciągnąć ludzi z branż, które coś jeszcze znaczą. Warto spojrzeć na przykład Francji. Motorem ostatniego strajku generalnego są kolejarze, pracownicy transportu miejskiego, dokerzy i przedstawiciele innych „tradycyjnych” zawodów, a nie zatrudnieni w NGO-sach.

ODRZUĆMY PREKARIAT!

Happeningsi takie jak prześmiewcza „Adoracja świętego Prekarego”, promocje książek i akademickie spotkania nie zastąpią realnej debaty nad stanem oraz strategiami ruchu pracowniczego. Za odrzuceniem terminu „prekariat” powinno pójść nazwanie rzeczy po imieniu. W ogromnej większości przypadków elastyczne formy zatrudnienia to patologia, z którą trzeba walczyć. Należy domagać się zniesienia ich wszędzie tam, gdzie to możliwe. Tutaj ogromną rolę mają do odegrania organizacje pracownicze koordynujące wspólny opór zatrudnionych na śmieciówkach oraz tradycyjnych pracowników najemnych. Często te dwie formy zatrudnienia spotykają się w tych samych zakładach. „Elastyczni” powinni mieć świadomość, że reszta pracowników się za nimi wstawi i nie pełnić roli łamistrajków. Z kolej już zorganizowani pracownicy, w swoim dobrze pojętym interesie, musi walczyć również o prawa zatrudnionych na przykład przez agencje pracy czasowej. Chodzi o to aby poprzez utrzymywanie mitu „prekariatu” nie bronić sytuacji, w której istnienie cała armia łamistrajków.

„Prekariat” należy z kolei podzielić na niewielką grupę uprzywilejowanych, stojących w konflikcie klasowym po drugiej stronie oraz większość, która, z drobnymi wyjątkami, powinna mieć stałe umowy o pracę. Z kolei samo pojęcie trzeba wyrzucić na śmietnik, na którym spoczywają „koniec pracy” czy „koniec historii”, nie jest ruchowi lewicowemu do niczego potrzebne. Mamy odpowiedni termin – „walka klas”. Nie należy go porzucać, a co najwyżej w niektórych aspektach zredefiniować, czy poszukać form walki wychodzących poza schematy znane z epoki wielkiego przemysłu.

Autorstwo: Piotr Ciszewski

Źródło: Lewica.pl